

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 29 kwietnia 1916 roku.

№ 18.

Walka Apuchtina z „Zachętą”.

Lichej pamięci działacz państwowy, który usiłował zrusyfikować szkolnictwo polskie w Królestwie i w okresie blisko 18-letniego swego szkodnictwa wycisnął piętno swej nienawiści do wszystkiego, co polskie, pragnął uczynić to samo z instytucją czysto-artystyczną: Warszawskim Towarzystwem Zachęty do sztuk pięknych.

Na mocy przestarzałej ustawy T-wa z r. 1860-go, jako kurator Warszawskiego Okręgu Naukowego, Apuchtin piastował urząd prezesa tej instytucji. Nie naśladował jednak swych poprzedników w ich minimalnej na bieg spraw ingerencji (głównie w podpisywaniu rocznych raportów do ministerium oświaty), lecz roztoczył nad polską placówką artystyczną specjalnie czujną opiekę. Pierwszym objawem działalności urzędowego prezesa „Zachęty” był przysłany Komitetowi w kwietniu 1890 r. nakaz, aby wszelkie napisy, jak kartki informacyjne pod wystawianemi w T-wie dziełami sztuki, tudzież tytuły, umieszczane na premiach dorocznych dla członków, były dokonywane „w języku rosyjskim z tłumaczeniem na język polski”. Aby uniknąć owej dwujęzyczności, komitet radził sobie w ten sposób, że na premiach dorocznych usunął wszelkie napisy; musiał jednak w wywieszonych podpisach pod obrazami tłumaczyć tekst polski na język urzędowy, według uznania ówczesnego kustosa T-wa, p. Górnickiego, niezbyt biegłego w znajomości języka rosyjskiego. Róło się więc na wystawach od tak humorystycznych przekładów, jak np. „W pracowni artysty” — „W laboratorji artysta”, „Hulaj dusza” — „Nu, taskajsia dusza” i t. p.

Szczęściem, że Apuchtin opiekował się instytucją z oddalenia swej

kancelaryi i nigdy nie zaglądał na wystawę. To też publiczność warszawska przez długi czas bawiła się w salonach „Zachęty” pomyslowością lingwistyczną kustosa.

Po w. w. rozporządzeniu natury zasadniczej jakgdyby uspokoił się p. kurator, w roku jednak 1892 między nim a komitetem, zaś głównie ówczesnym vice-prezesem T-wa, Lucyanem Wrotnowskim, zaważyła walka na dobre. Wrotnowski zdobył sobie złą markę u Apuchtina od czasu urzędzenia specjalnych działów sztuki polskiej na wystawach międzynarodowych w Berlinie w r. 1891 i w Monachium w r. 1892-im. Zwłaszcza zabieg jego w urzędzeniu tej ostatniej, uwieńczony nadaniem Wrotnowskiemu orderu zasługi przez króla Bawarskiego, jak i odegranie na otwarciu działu polskiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”, zdecydowały o przeświadczeniu Apuchtina, że wiceprezes kieruje nawa instytucji „nieprawomyślnie”. To też w r. 92-im zaczął od drobnych szykan działalności komitetu z zakresu gospodarczego, wyrażając swe niezadowolenie z powodu używania w kancelaryi danej ilości materiałów piśmiennych, to znów nie zatwierdzając projektu urzędzenia w gmachu wystawy oświetlenia gazowego; przysłał piśmienny „wygovor”, że w końcu roku maogół zakupiono do losowania dzieł sztuki za 12.000 rb., gdy na początku roku na cel ten przeznaczono w budżecie tylko rb. 7.000... i t. p.

Gdy, z powodu darowizny tegoż roku 3.000 rb. przez artystę-malarza Suchodolskiego na rzecz zubożałych artystów, komitet chciał nabyć za sumę powyższą odpowiednią ilość 4 i pół procentowych listów zastawnych Tow. Kred. Ziemińskiego, p. kurator rozkazał za sumę powyż-

szą nabyć papiery procentowe państwowe lub też przez rząd gwarantowane.

Dostało się też komitetowi od jego prezesa za takie „nieporządki”, jak przekroczenie budżetu w wydatkach niestałych. Chodziło mianowicie o nadwyżkę wydatków w sumie 255 rb. 17 kop. w pozycjach na roboty drukarskie. Tak komitet, jak i kancelarya musiały tracić czas nieprodukcyjnie na wyjaśnianie, że przekroczenie budżetu nastąpiło na skutek żądania cenzury, aby sprawozdanie roczne drukowane było w dwóch językach, a nie, jak dotychczas, w jednym tylko, polskim.

Rozdrażnienie Apuchtina doszło do szczególnego napięcia, gdy się dowiedział o udatnych staraniach wiceprezesa Wrotnowskiego bez wiedzy jego, jako prezesa, urzędzenia w r. 1893-im wielkiej wystawy sztuki polskiej w Petersb. Akademii sztuk pięknych. Dzięki poparciu wpływowych sfer petersburskich, Wrotnowski uzyskał sankcję na zorganizowanie takiej wystawy od samego prezesa Akademii, wielkiego księcia Mikołaja Aleksandrowicza, brata cesarskiego. Apuchtin użył wówczas wszelkich środków, aby sam pomysł zniweczyć w zarodku. Jakoż dopiął celu, gdyż ówczesny prezes ministrów, Durnowo, przedstawił cesarzowi całą grozę niebezpieczeństwa urzędzenia w Petersburgu ogólnej wystawy sztuki polskiej ze wszystkich zaborów, która niewątpliwie miałaby „charakter polityczny” (?). Aleksander III nietylko podzielił obawy prezesa ministrów, ale nadto udzielił widocznie admonicyj swemu bratu za lekkomyślne sankcjonowanie projektu Wrotnowskiego, wkrótce bowiem do kancelaryi Apuchtina nadeszło zawiadomienie prezesa z petersb. akademii sztuk pięknych, w którym wielki książę, cofając swoją zgodę w kwestyi powyższej, użył zwrotu: „Wrotnowskiej mienia podwoił”.

To też, kiedy Wrotnowski po-

wrócił 1893 r. z zagranicy. Apuchtin przysłał komitetowi w czerwcu t. r. rozkaz, aby obowiązki wiceprezesa pełnił w dalszym ciągu zastępujący Wrotnowskiego członek komitetu, artysta Maszyński.

Nie dowierzając jednak prawomysłowości i tego ostatniego, Apuchtin postanowił na wszystkie posiedzenia komitetu delegować, jako przewodniczącego, swego pomocnika, rz. r. st. Popowa. Po raz pierwszy zjawił się ów dygnitarz na sesję komitetu w d. 26 lipca r. 1893-go. Nie pomogła argumentacja przewodniczącego na posiedzeniu członka komitetu, artysty J. Ryszkiewicza, że w myśl art. 19 ustawy, prezesa na posiedzeniach komitetu może zastępować tylko wiceprezes, wybrany przez komitet z grona członków, albo ten z członków, który na zebraniu ogólnem uzyskał największą liczbę głosów. Popow oświadczył kategorycznie, że spełnia polecenie kuratora i zastępuje go „ze względów szczególnych“.

Kiedy, na skutek rozbieżności zdań między Apuchtinem i jego pomocnikiem w okręgu naukowym z jednej strony a komitetem z drugiej, co jest więcej dla tego ostatniego miarodajnym; przepisy ustawy, czy też rozporządzenie kuratora, oparte na „względach szczególnych“, nie doszło do obrad na paru kolejnych posiedzeniach komitetu (w lipcu i we wrześniu), członkowie bowiem tegoż nie chcieli zabierać głosu w obecności nieproszonego przybysza, Popowa. Apuchtin zagroził, że w razie dalszego oporu nie pozwoli na odbywanie sesyj i narad nad sprawami T-wa.

Po takim postawieniu kwestyj komitet musiał się pogodzić z obecnością przedstawiciela kuratora na posiedzeniach zarządu instytucji, nie chcąc tamować biegu jej spraw, nie cierpiących zwłoki. Można się domyśleć, że poza urzędowemi sesjami z przewodniczącym Popowem komitet urządził zebrania prywatne, bez marzuczonego z góry „prezesa“.

Wogóle stosunek satrapy rosyjskiego do władzy komitetowej stawał się coraz przykrzejszy; najbliższa nawet sprawa, zapoczątkowana przez komitet, dawała powód do przedłużających się bez końca zapytań i wyjaśnień. Tak w aktach T-wa, jak i protokołach posiedzeń komitetu z okresu omawianego, znalazłem masę tego dowodów. Dla przykładu przytoczę parę następujących faktów:

Jako premium dla członków T-wa na rok 1893 komitet przeznaczył album, złożone z pięciu odbitek aquafortowych; na okładce zaprojektowanemu był przez artystę-malarza Sistrzeńcewicza rysunek symboliczny, przedstawiający alegoryczną postać kobiecą, jako sławę, jedną ręką wieńczącą laurem zasłużonych artystów, — w drugiej trzymającą

zapalona pochodnię — symbol umysłowego i duchowego światła. U nóg figury artysta umieścił tarczę z herbem Warszawy, siedliska T-wa.

Apuchtin, zaniepokojony tajemniczością niezrozumiałej dlań myśli artysty, rozpoczął dość długą „pierepiskę“ z komitetem na temat znaczenia owego symbolu.

Po udzieleniu mu żądanej informacji na początku roku, kurator nie uznał jej za dostateczną i polecił w kwietniu dodatkowo wyjaśnić, jakie ma znaczenie „czarna kula“ na okładce. Odpowiedziano mu, że nie jest to kula, lecz zwykły krąg ciemny, użyty jako tło dla większego wypuklenia kształtów figury, jak to często miewa miejsce tak w naszych, jak i zagranicznych ilustracjach.

Dopiero w lipcu nadeszła do komitetu odpowiedź kuratora, że nie może zaaprobować rysunku ze względu na niewłaściwie użyty przez

artystę herb miasta Warszawy, żąda przeto przedstawienia mu rysunku bez herbu.

Wogóle herb m. Warszawy klął oczy Apuchtina; gdy bowiem na reklamowych ogłoszeniach T-wa, zawieszanych w hotelach, cukierniach i w innych miejscach publicznych, umieszczono tarczę z syreną, kurator w maju 1893 r. nakazał, zgodnie z wnioskiem prezesa komitetu cenzury (działającego z nim zawsze solidarnie) herb miasta usunąć. Musiano go zastąpić paletą malarzską...

Wspomnę tu jeszcze o jego zakazie reprodukcji przez komitet „Powrotu lisowczyków“ Brandta, przeznaczonej na premium za rok 1895, ponieważ „bandy zbójckie Lisowskiego rabowały na obszarach cesarstwa rosyjskiego, dopóki nie zostały stamtąd doszczętnie wypędzone“...

DN. L. P.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

L I L I .

3

Odzykiwały dawny urok znajome ulice, a zwłaszcza owe ciasne zaułki — rdzenne gniazda miejscowej ludności, gdzie wrzała praca przy nieustannem pogwizdywaniu lub śpiewie tego ludu, co jak świegotliwy ptak lubi słyszeć swój głos.

Nosił zawsze w kieszeniach od kamizelki trochę soldów, które chętnie rzucał fikającym przed nim koziółki malcom, o czarnych czuprynach, ogorzałych twarzach, roziskrzonych, jak gorejące węgielki, oczach.

Od czasu do czasu zachodził do „Ridoto“, ludowego „Variété“, gdzie pomimo licznych napisów „nie wolno tworzyć chóru“ canconecistka właściwie rozpoczynała piosenkę, a potem poruszała tylko ustami, za nią bowiem śpiewała cała sala.

Lekki uśmiech wywoływał mu na twarzy szumny afisz, gdzie każda śpiewaczka musiała nosić jakieś świetne określenie: „excentrica“, „originale“, „divetta grazioza“ lub „stella neapolitana“. Do programu stałe wchodziła: „distincta heroica“, poważnie ubrana w wieczorowej tualecie, o lepszym głosie, śpiewaczka z poważniejszym repertuarem miłosnych pieśni, które wrzuszały go głęboko.

Poecie nieraz lży stanęły w oczach, a przy rzewniejszych nutach doznawał tak silnego rozkliwienia, że wychodził z sali, by w głos się nie rozpłakać, i długo się błakał w samotności, nim uspokoił rozedrgane nerwy.

Czasem jeszcze budził się w nocy w wrażeniu, że się w nim magle podnosi ta sama uśmierzona fala łez.

I choć się wstydził — płakał.

Był to płacz bez szlochów, lzy wylewały się jakby z przepelnionego naczynia, wreszcie fala się obniżała i płacz ustawał, a potem jakby przycichała dusza, smutek stawał się coraz mniej dotkliwy, przybierał postać łagodnej melancholij — usposobienia, które nie jest w stanie ani zbyt nio się cieszyć, ani silnie martwić, nie umie się śmiać, tylko uśmiechać, nie może szlochać, ale tylko wezbranym łzom pozwala spływać.

Nastrój duszy Świdy stawał się podobny do zmierzchu wczesnej jesieni; panowała w niej ta sama przygniona cisza, to samo żywych niegdyś wrażeń spłowienie. Życie jego nie było już zupełnie puste, ale wciąż jeszcze nie płodne.

Próbował pisać, miewał nawet szczęśliwe pomysły, ale tematy wprost wędły w rękę, nie rozkwitały, ale słaby, przybierając w najszczęśliwszym wypadku postać niepozbawionych wdzięku fragmentów.

Czuł, że przymarł duchowo, że podupał i nieprędko się dźwignie, wierzył jednak, że dźwignąć się musi, że mu jest lepiej, niż przed miesiącem, po otrzymaniu okrutnej wiadomości, że po tym okresie rezygnacji nastąpi pogodzenie się z losem, albo bunt, który mu zrewoltuje duszę i da zapomnienie.

Chcąc osiągnąć wrażenie, że nie jest zupełnie beczynnym, postano-

wił nauczyć się dobrze włożyć go i ze słownikiem w rękę wertował piśma.

Zwykle przerywał czytanie w tej niedługiej chwili zmierzchu, nim nagle łśnieniem zapłoną mleczne kule elektrycznych latarni, i rozglądał się po snujących się tłumach, ślizgał się oczyma do stromych ścianach campanilli, a czasem, podparwszy oburącz głowę, wsłuchiwał się w rozlewny jęk jej dzwonów i w miarowe kucie rycerzy, wybijających na orelogie takt uchodzących godzin...

I kiedyś w takiej chwili zadumy uderzył go jak młot w serce okrzyk: — Stef!

Zamarł cały, drgnął, podniósł przerażone oczy i pobladł.

Przed nim stała, Lili, obok sztywnie ubrana, z goździkiem w kłapie jesiennego ubrania, Brunon.

— Stef! — poczuł jej drobne, wzruszone dtonie w swem zimnem, zdrtwialem ręku.

— Jak się masz — powitał go trochę zażenowany Brunon.

Świda bez głosu podniósł się, gdy Lili usiadła, usiadł, jak manekin, z wrażeniem najprzód straszego popłochu wszystkich zmysłów a potem kompletnego upadku sił.

Zapanowała krótka chwila naciągniętego milczenia.

— No, ja pójdę — odezwał się wreszcie sucho Brunon — dowiem się o ten statek do Ankony — i oddalił się.

Lili z założonymi bezradnie rękami patrzyła łzawymi oczyma na zmierzowaną twarz poety i na krawat związaną, jak postronek, pod wykładanym kołnierzykiem miękkiej koszuli.

— Stef — zaczęła mówić przyrywającym, jakby bez tchu głosem — nie wiedziałam, żeś tu; pisałam do ciebie dwa długie listy, ale tyś się zawzwał, zaciął... nie wiedziałam, żeś tu, Stef; nie wiem, czy cieszyć się, czy płakać, że cię widzę — i nagle, jakby to było najważniejsze, dodała — pozwól, ja ci to poprawię — szybko rozsunęła krawat i związała w piękną kokardę, przyczem ręce jej musnęły go po policzkach, a od tego musnięcia drgnęły mu spazmatycznie usta i łzami zaszyły oczy...

— Wy pewno przelotem — wydzwignął z trudem słowa, czując, że coś mówić wypada.

— Tak, muszę do San Remo dla mojej kuracji. Pamiętasz owe duszności? Okazało się, że to jakaś kłapka w sercu niezupelnie szczelnie się domyka, — ma ją to pomódz... Skąd tam jednak Brunon ma ochotę widzieć Ankone... Dla dźwięku u-podobał sobie to miasto. Ankona — powtarza — to dzwoni... Miewa on też swoje dziwactwa... A ty dawno?

— Od trzech tygodni.

— Gdzie mieszkasz?

— Cavalotti 26.

— My także — 27, — Stef, co za dziwny zbieg okoliczności — za-

częła Lili z niezwykłym ożywieniem. — Wiesz, że ja przeżuwałam, że my się wkrótce gdzieś blisko znajdziemy. Nie wiem, czemu, ale mi się ciągle zdawało, że to się stanie, stać musi — ja prawdę pisałam, że mi cię żal okropnie i że ten żal wzrastać będzie... Tęskniłam...

— Lili — zabrzmiał głos Brunona, — statek dziś o 10 wyrusza, następny za dwa tygodnie, mamy więc tylko parę godzin czasu — idę zamówić kabiny.

— Weź tylko jedną! — szybko rzuciła Lili.

A na jego przeciągłe — Co? — odprowadziła go na bok i zaczęła mówić szybko i jakby w uniesieniu.

— Jedź sam — ja go nie mogę tak zostawić, muszę z nim porozmawiać, rozgadać się serdecznie — dziwię się, że tego nie rozumiesz.

— Sam nie pojedę — rzekł twar-do Brunon, a potem rysy jego twarzy jakby się rozprężyły... Nie będą ci przeskadzał w tej rozmowie — dodał łagodniej.

— Nie — słuchaj, jedź koniecznie. Czuję, że nie możemy być teraz jeszcze we troje — chciałabym i myśle, że to kiedyś nastąpi — ale dziś to niemożliwe. On mych listów nie otrzymał — musi mieć strasznie rozżalone serce... i w tem usposobieniu...

— Do czego to wszystko zmierz... Lili — do czego? — przerwał Brunon ściśniętym gardłem.

— Ty wiesz — odparła, spuszczać oczy.

Brunon przybladł. — Więc mówiłaś to seryo...

— Tak — i po dłuższej pauzie milczenia i jakby ciężkiego namysłu — tak, — i stargana, jakby bliżka rozpacz, jąła się tłumaczyć: Nie mogę opuścić go, ani rzucić ciebie — przysięgam ci, że odbędę tę kurację i ku tobie wrócę, jak od ciebie ku niemu teraz dążę. Ja nie rozumiem siebie i potępiam się w duchu. Kocham was obu — ale żaden nie jest w stanie tak drugiego zasłonić, bym nie widziała, jak się zbolaty wychyla ku mnie, bym nie słyszała, jak woła mnie żałośnie — by nie wzbudzał we mnie serdecznej tęsknoty w tych dziedzicach duszy, które są jego, któremu on jedynie włada i które przy nim tylko rozkwitać mogą... Brunonie, jedź koniecznie — jedź! — i w oczach jej błyszczały gorące łzy.

— To jest bez sensu, ja tego nie rozumiem — to można istotnie oszaleć... No, nie płacz — jadę, jadę — dodał prawie z gniewem — ale pierwszym statkiem powrócę...

— Dziękuję ci — ściśnęła mu ciepło dłoń Lili i z niewystygłymi jeszcze łzami, podchodząc do stolika, rzekła:

— Stef, — zaczekaj tu na nas, pojedę spakować Brunonowi walizkę, na kilka dni wyjeżdża, ja zostaję dla ciebie. Proszę nie patrzeć tak śmiertelnie smutnym oczyma, bo mnie to

boli... Dowidzenia tymczasem — skinęła mu wdzięcznie głową, podała Brunonowi rękę i znikła w tłumie.

Świda siedział chwilę, jak ośtu-piały, potem doznał silnego zawrotu głowy, i nagle podniosła się w nim fala tkliwych wzruszeń i runęły, jak oberwane, w czeluście smutku.

— Lili — poczuł w szepcie słodycz jej imienia i ze ściśniętej pier-si wy dobył mu się stłumiony jęk ockniętej boleści.

Zaciśnął mocno powieki, wstrzymał oddech i siedział chwilę, jak martwy. Pulsa kołatały mu w skroniach, cierpły zaciśnięte palce.

Całą siłą woli powstrzymywał wewnętrzne drgania, czując, że lada chwila przeobrazić się mogą w niepowstrzymany szloch.

Wreszcie opanował się, odetchnął głęboko i z wrażeniem skazania oczekującego na wyrok siedział nieruchomo w stanie takiej rezygnacji, że zjawienie się Lili z Brunonem przyjął dość spokojnie.

— Chodźmy do przystani — odedzwiała się pierwsza Lili. — Świda dzwignął się i szedł za nimi, pozostając cokolwiek w tyle.

Okręt gotowy do podróży stał o kilkadziesiąt kroków od brzegu. Musieli wziąć gondole, Brunon i Lili siedli obok siebie, Stefan naprzeciwko. Płynęli w milczeniu. Lili z twarzą skupioną, Brunon z surową, tającą w katach ust cierpieniem.

— Dowidzenia, Lili — pocałował ją w obie ręce. — Bądź zdrow — rzekł zimno do Świdy, wstąpił na schodki i znikł na pokładzie. Po chwili ukazał się znowu i oparty o balustradę, patrzył badawczo we wzniesioną do góry twarzyczkę Lili, która w świetle księżyca przybrała wyraz lunatyczki.

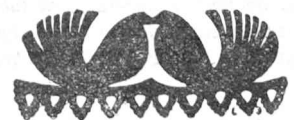
Począł coś mówić — ale głos dzwonka i przeraźliwy ryk syreny zagłuszył słowa... Lodzie się cofnęły — statek drgnął, zataczając koliste fale. Zatańczyły gondole. Lili trzepotała chusteczką, ze statku odpowiedziały setki białych sygnałów i ginęły w mgle. Wkrótce roztopił się w mroku kadłub okrętu i pozostał tylko biały szlak spienionej fali i migające coraz słabiej i mętniej światelko latarni na maszcie.

Lili ścięła je oczyma, aż zga-sło. Świda przypatrywał się jej wyprostowanej postaci i zauważył, że rozkwitła w białście, zachowując jednak dawną smukłość i świeży, prawie dziewczęcy wyraz twarzy.

— Strasznie zmęczona — wyrzekła cicho, siadając — wrócimy do hotelu gondolą — dobrze...

By dostać się do hotelu, trzeba było zrobić spory krąg.

Dalszy ciąg nastąpi.



PIES Z KOTEM.

(Z BAJEK WOJENNYCH).

Wrodzonych się uprzedzeń zwalczając bojkotem
 (Bojkot — to nienawiści formuła najprostsza,
 Która się dziś w tej wojnie morderczo zaostrza) —
 W pewnej dzielnicy kot z psem żyli, jak pies z kotem.
 Bywało, że pies kota zdybie i pogromi,
 Za kark go uchwyciwszy, tego wyłomola;
 Innym razem zwycięstwo należy do kota,
 Który psu robi mapę frontu z fizyonomii.
 Czasem pies i kot — obaj rany swoje liżą
 I jeden od drugiego, ile może, stroni:
 Nazywa się to z ludzka „zawieszeniem broni”.
 Pies był blondyn, a kot miał sierć cokolwiek ryżą.

Otóż raz, poszukując mysich kot komórek,
 Spotkał się na podwórzu z psem. Pies w lot — do czynu.
 — A, tuś mi, gdzie! — skowytął. A kot: — Precz, psi synu!
 W same oczy mu parsknął i hyc na przymurek.
 Zaczęli się wzajemnie liżyć. Pies — psim belkotem,
 Kot miauczał i świdrował okiem adwersarza,
 Czasami się ta scena i wśród ludzi zdarza —
 Wśród ludzi, którzy z sobą żyją, jak pies z kotem.
 — Ty jaszczurko! — pies szczekał. Kot miauczał: — Ty błaznie!
 — Ja ci dam! — wyl pies: — miesiąc popamiętasz ruski!
 — Jak rak świśnie. — Kot mruknął: — zjesz na wierzbie gruski!
 — Ja ci ślepią wydrapię! — Ja ci sprawię łaźnię!
 — Pies jesteś, rab, niewolnik, który na dwóch łapach
 Przy człowieku się szwędą, żebrząc jego łaski.
 A ja, kot, nie poniżam się w ten sposób płaski,
 Żeby tyć na kuchennych, tak jak ty, ochłapach.
 — Ale ja się nie pasę na myszy, na szcurze,
 Tak jak ty, nie myszkuję w poddaszach i strychach,
 Nie znam się na złodziejskich, tak jak ty, wytrychach,
 I jestem panu wierny: nie jak ty, koczurze! —
 Ty, fotografo zdrójcy, jakby wykapana!
 — Bo ja jestem kot wolny i swobodę cenię,
 A pies już od małego, jako ślepe szczenię
 Łasi się... Bo pies zawsze musi mieć w kimś pana!
 — A ty grzbietu, czy nie gniesz, kiedy włos ci głaszczą?
 Nie mizdrzysz się? o bok się czleczy nie ocierasz?
 Dla odrobiny mleka? Widziałem to nieraz...
 O, jakże wtedy chętnie zdusiłbym cię paszczą.
 — Ja, psie, jeśli pozwalał ludziom na karesy,
 To umiem w każdej chwili okazać swą wolę.
 Mają ze mnie to tylko, na co ja pozwolę.
 Niech świadczą mych pazurków na ich skórze kresy.
 — Bo jesteś niewdzięcznikiem podłym, ty wyrodku!
 — A ty nosisz za wierność na szyi tabliczkę,
 Zaś dla mnie byłby hańbą ten znak i policzkiem.
 — Ten znak świadczy na zewnątrz o tem, co jest w środku:
 We mnie żyje lojalność, w tobie same kłamstwo,
 Ty wstretny myszogryzie, ty komedyancie,
 Ty linoskołu, wprawny w chód po gżemu kancie!
 — Wolę to, niżli twoje, psie, niezgrabne chamstwo.
 Ot widzisz, siedzę sobie, ledwo o trzy kroki
 Od ciebie, tu na murku, i z całym spokojem
 Wyższość swą kocią stwierdzam, że psa się nie boję
 Choć i na mnie rozwiera pysk taki szeroki.
 — Poczekaj, złapię ja cię na niższym poziomie!
 Żywego nie zostawię na tobie łachmana,

Ni zbawi cię od zemsty mej sztuka lamana.
 — Schlebiasz mi nienawiścią swą psią nieświadomie,
 Cierpiasz, żem taki zwinny, żem arystokrata,
 Że umiem się zachować wśród ludzi z godnością,
 Że jestem samodzielną, wykwinną jednością,
 Która się z gminem psiarstwem nigdy nie pobrata.
 Weź, na przykład, jak ty jesz: z chciwością, żartocznie,
 Z mlaskaniem żuchw, z obżarstwem — maniera prosięca,
 Zaś kot jak je? Choć kęs go łakomy zachęca,
 Pomyśli wpierw, rozważy, zanim go napocznie.
 — Wiem, wiem, jak ułożonym jesteś dobrze kotem.
 Złowiwszy mysz, zadreczasz naprzód ją powoli,
 Delektujesz się, patrząc, czy ją mocno boli? —
 I żywcem ją, ty grzeszny kocie, zgryzsz potem...
 — Wystaw sobie, że ciebie, psa, ja też tak dręcę.
 Że cię nie zjadam, jak pies, za jednym obrotem;
 Że, nimeś zdechl, masz czas się pożegnać z żywotem,
 Czuć, że zwolna się nitki życia rwą pajęcze,
 Stopniowo, nie odrazu — jak lampa dogasa;
 Że masz jeszcze sposobność szczenkąć mi przekleństwo,
 Lub uznać, żeś zasłużył czemś na to męczeństwo...
 Jednem słowem, przed śmiercią przyjemności masa.
 No pomyśl, żeś jest mysza...

— Nie! — rzekł pies ze wstrętem: --
 Wolę już ja te swoje, podług ciebie, wady,
 Niż zasłużyć na miano kota — Torkwemady!...

I tu zaczął oznajmiać wyciem tak zawziętem
 Pies odrazę do kota, kot też się oburza
 Na psa, miaucząc i sycząc groźnie po kociemu,
 Że nie będziemy wcale dziwili się, czemu
 Stróż przyszedł i wypędził obu ich z podwórza.
 Smutne było następstwo, jak zawsze, niezgody.
 Ukarał ich za waśne los, w postaci stryka,
 Obu ich ciała wędlin kupiła fabryka,
 W jakim celu? Zapewne miała swe powody.

Choć i o dobro stawy u nas w Polsce dba się,
 Lecz wojna pod tym względem robi niespodzianki.
 Może dostać się w nasze dziś kiszkowe ścianki
 Pies i kot w tak dziś zwanej „wieprzowej” kielbasie.

Jest u nas gdzie zebranie, przypuśćmy — kolacya,
 (Choć mogą być złączeni ludzie i obiadek),
 Dziwnego fenomenu jesteś wówczas świadkiem:
 Ci w Polsce krzyczą: bojkot! ci — asymilacya!
 Niema zgody. Tu wiolin nie myśli o basie,
 Tu przygnębia alt dyszkant złą orientacyą;
 Ten z wschodnią, ów z zachodnią dyszy palpitacyą:
 Bodaj, że zjedli kota z psem w jednej kielbasie.
 Bo nawet i po śmierci te sprzeczne stworzenia,
 Już zasymilowane w pokarmnym przewodzie,
 Nie łączą się, i psi duch tak duch koci bodzie,
 Że i w kiszkach się ludzkich psują skojarzenia.
 Z kiszek do krwi przenika ta niezgodność potem;
 Krew przenosi do naszych serc i głów te waśnie,
 Ten spór, ten zamęt pojęć, jak gdybyśmy właśnie
 Byli nie jedną Polską, lecz ci — psem, ci — kotem.

Antoś, Janek i Wikcio

czyli

Wstrzemięźliwość zawstydzona.

...Po drugim kieliszku Martela zrobiło się nagle Antosiowi niedobrze. Zbladł, i zimny pot kroplami począł ściekać mu z czoła...

Od szeregu lat, jak włóczył się w nierozważnej zgodzie z Jankiem i Wikciem, nie zdarzyło się żadnemu z nich nic podobnego...

— Antoś!...

Antoś wnet przyszedł do siebie, kropnął trzeci kieliszek i wyrzekł:

— A gdybyśmy tak zastrajkowali?

Zerwała się burza.

Rozbił zgodną kompanię cowieczorową, zerwać nagle z przyzwyczajeniem lat tylu, więcej: z zasadą, która — dobra czy zła — przetrwała czasy spokojne, przebrnęła kawał wojny z zakazem (dla stałych gości kącik z buteleczką „kolońskiej” zawsze się znalazł!)... i teraz brnie dalej mimo drożyzny — — —

Nie!...

— Na krótki czas tylko...

— Nie!...

— Na sto godzin!

Zastanowienie...

— Sto godzin? Ileż to czyni?

— Co wieczór wydajemy jakieś 5 rubli, zatem przez cztery wieczory...

— Ja proponuję sześć dni!

— Tydzień!...

— Protestuję — — —

Uchwała przechodzi dni pięć. Od Wielkiego Piątku do środy poświęconej niewolno żadnemu z przyjaciół spotkać się z drugim. Ślubują też przez pięć dni pomienionych nie oddawać się obżarstwu, pijaństwu (ani kropli do ust!), ani żadnej namiętności (o kartach niema wspomnienia, ile że namiętność ta obca była Antosiowi, Jankowi i Wikciowi).

Uścisnęli sobie mocno ręce na zgodę i posmutnieli na chwilę...

— Tobie to nie sprawi trudności: na łonie najbliższej rodziny...

— Ani tobie — replikuje Antoś — masz huk znajomych domów w Warszawie: dziś u jednych, jutro u drugich, u trzecich...

— A ty co zrobisz ze sobą? — zwracają się pytając do Janka.

— Spróbuję posiedzieć w domu. I tak przecież można — — —

Rozchodzą się, ponawiając raz jeszcze ślub uczyniony. Pierwsze rendez-vous na środę poświęconą. I nie w lokalu żadnym, ale u Janka, ile że mieszka po kawalersku.

* * *

Punktualnie o oznaczonej godzinie stawia się u Janka — Wikcio. Zły, zgnębiony... Kwaśny jest również i sam gospodarz.

— Słuchaj, Wikciu — zagaduje zaraz po przywitaniu — czy masz jakie — — —

O pieniądzach mowa? Wikcio dziwi się, w jaki sposób mógł Janek wydać, siedząc sam jeden w domu — — —

Historia się wyjaśnia. Janek ma sąsiadów — taką sobie paczkę „artystyczną”: literat, dwóch aktorów, malarka, subjekt ze składu bielizny, legionista... Bieda z nędzą, ale sympatyczne bractwo... Wpadli raz na chwilę po sąsiedzku, podobają im się... Zaczęło się od skromnej „siódemki”... Krótko mówiąc,

przejął Janek przez te pięć dni 130 rubli, z tych czterdzieści pięć na kredyt...

— Uciekajmy, tylko patrzeć, jak się wladują! Chodźmy dokądkolwiek!

Ba, ale za co? Wikcio też goły: zgrał się do nitki!

— Na wizytkach?

— A właśnie! Tu bancek, tam pokerek, tam znów loteryjka z pannami... A wprawne to wszystko! Ledwo odrosło od ziemi, już rżnie w brydża i to jak!... Człowiekowi wstyd się przyznać, że niemuzyczny, więc — — —

Pochyliłi smętnie głowy.

ładny kwiat! Obaj splukani...

Nagle parszczą serdecznie śmiechem. Lada moment przyjdzie Antoś i także, kto wie, będzie — — —

Jakoż Antoś nie każe długo czekać na siebie.

— No, chłopcy, do lokaliku na jedno szkło! — grzmi zaraz od proga.

H. Jelenkiewicz.

Niefortunna wyprawa.

Niema nic straszniejszego od monotonii życia panińskiego.

Nad życiem panny czuwa szereg ciotek, stryjenek, wujenek, guwernantek i przyjaciółek mamy, któreby z powodzeniem mogły pełnić służbę w tajnej policji. Ale ich praca na polu udręki panien nie idzie na marne... Po przebyciu drogi panińskokrzyżowej dobija łódź dziewczęca do przystanku małżeńskieg. Wolno jej wtedy odetchnąć swobodniej. Lecz znieważone w swych prawach serduzszo panińskie tyle ma nagromadzonego żalu i taką zemstą pała, iż musi mścić krzywdę swoją. A że jedyną racjonalną zemstą jest innym dać przeżyć to, co samemu się cierpiało, więc — na pannach mści się ta, która nią być przestała, pieczę otaczając przyjaciółki, kuzynki, siostrzenice. Słodką jest zemstą ma! — myśli w duchu. Następne dziewczę, które także cierpiało na „paniństwo” (choroba przykra, gdy przechodzi w stan chroniczny), po zamążpójściu także się zmienia na głębielkę panien. I tak dalej, i tak dalej. Oto, jak się przedstawia perpetuum mobile niedoli życia panińskiego.

Są panny, które się łatwo przyzwyczajają do swego losu; wszelako znajdują się i takie (o nieostrożne), co pragną wyzwolenia z pod jarzma. Bohaterka moja nie należała do tych ostatnich. Nie była też zwykłą i codzienną panną, bo dla takich niema miejsca w noweli. Grała ślicznie na fortepianie i przeróżne ochoty, tęsknoty, marzenia, których treść przemilczec wolę, przetapiała na gammy, wprawki, etudy, preludya, fugi i nokturny.

Tak było do chwili, gdy poznała Jego. Że i on był postacią niecodzienną, nietrudno się domyśleć; ina-

— Zapłacisz za nas? — lęklwie pyta ją przyjaciela...

— Zapłacę!

— A pożyczysz nam?

— Ile? Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt?

— ?!

Antoś znany był w kompanii, że zawsze najmniej ze wszystkich miał pieniędzy...

— Wygrałeś?

— A jakże. Od babki, od jednej ciotki, od drugiej, od kuzynki, bratowej, siostrzenice, nawet od matki rodzonyj...

— W co, u licha?

— W co chcecie... W „zechycka”, w „pół do dwunastej”, w „stukulka”, czy ja wiem w co jeszcze!... Bractwo siedzi całymi wieczorami w domu i gra, a pojęcia nie ma — — —

B. Górczyński.

NOWELA.

czej nie ośmieliłby się wniść do noweli i serca pianistki. Poznali się na jakimś vernissage'u, na którym on wystawił z prawdziwym powodzeniem pastelową markizę. Powiedział jej kilka przemilych frazesów o sztuce wogóle, a w szczególności o jej przepięknym kapeluszu, któryby według niego włożyła chętnie lady Hamilton. Mężczyzna, który mówił kobiecie, że nosi piękny kapeluszek albo śliczny kostium, lub że jej przyjaciółka nie posiada tyle gustu, co ona — może być pewnym uczucia sympaty, które nie obalić nie może. Zatem nie dziwie się, że malarz zdobył względy panińki odrazu. A gdy się dowiedziała, iż on się nosi z zamiarem wstąpienia do legionów, sympatya panińki wzrosła o parę centymetrów.

Los, który zakochanym sprzyja (do czasu, tylko do czasu...), dopomagał panience. Spotykała go na ulicy, koncertach, wystawach w plein air'ze i w jakimś literackim salonie, gdzie powiedzieli sobie znacznie mniej, niż chcieli, ale znacznie więcej, niż to mama uważała za stosowne.

Po rozejrzeniu się we własnej sytuacji uczuciowej, panińka doszła do przekonania, że miłość jest jeszcze piękniejszą od sztuki; nie grała więc tak skwapliwie sonat i ballad, a wprawek i etud poniechała najzupełniej.

— Tyle pieniędzy wyrzuconych na mamę — skarżyła się mama, łzawem okiem spoglądając na Stanley'a — czemu nie grasz?

Panińka trwała w milczeniu, chowając serca tajemnice, i tylko najmilszemu kuzynkowi zwierzała się.

— Chciałabym przeżyć, doświadczyć...

Kuzynek otwierał ramiona i odpowiadał:

— Pójdź w me objęcia. luba,

— Ty niczego nie bierzesz na seryo.

— Wprost przeciwnie — mówił z namaszczeniem kuzynek. — Ale, o ile się znam na rzeczy, to doświadczanie, którego pragniesz, niepodobna jest robić na króliku.

To były słowa, tylko słowa.. Albowiem łatwo zrozumieć, że panienska, której serce było dla malarza, była również daleką od ochoty wprawy na kuzynie, króliku i fortepianie.

Tymczasem na jakimś raucie malarz nie powiedział słicznej panience: „życie dałbym, gdybym miał cię“, co niezaprzecznie byłoby dowodem znajomości najcenniejszego utworu poezji erotycznej, ale że niedługo przywdzieje mundur i kto wie... może się nawet na front uda. Przed oczyma panienki głośnie zamajaczyły obrazy: on wyruszający w dal... i ona samotnie sama. Poblądło lico dziewczeczki. W takim momencie gotowa była uczynić dlań wszystko i — resztę. Malarz poczuł to, ale jako że był gentlemanem (zdarza się, że i malarz bywa gentlemanem) nie wyzyskał sytuacji, tak jakby to uczynił literat, albo inny sprytny mężczyzna, lecz rzekł:

— Wyjadę, pani mnie zapomni.

W oczach panienki zaszklily się prawdziwie niefalszowane łzy. Więc malarz szepnął:

— O pani, chciałbym spać te łzy, chciałbym być prochem pod twymi stopami.

Na paniencie zrobiło to kolosalne wrażenie, albowiem takie zdania znała tylko z literatury i nie wiedziała, że można je tak pięknie zastosować w życiu.

— Chciałbym, zanim odjadę (kto wie, może na zawsze), choć jeden wieczór spędzić z panią, sam na sam. Nie ośmielę się nigdy zaprosić pani do siebie. Tu zrobił pauzę. A mile dziewczę pomyślało.

— Czemu?

— Ale pragnąłbym pożegnać się z panią. Miła!

Po „miła“ dopełniło czary słodyczy. Panienska kochała.

— Spędźmy więc razem w teatrze ten wieczór.

Panienska nie zawahała się ani na chwilę; widok matki, słowo opinia nie zaznaczyło się ciemną plamą na horyzoncie uczucia.

...Kocham — myślała — i wszystko mi jedno.

— Ale na co pójdziemy, jedyna?

— Niech pan wybierze — odpowiedziała z prawdziwie kobiecą uległością.

— Więc na operę!

I jej się zastanawiać, jakich melodii słuchać będą we dwoje. Czy wspaniętacz Wagner najlepiej im zaakompaniuje (ale Wagner zszedł z repertuaru), czy Romeo i Julia przema-

wiać będą za nich, czy wreszcie w Pajacach ktoś trzeci; oboje trupem położy. Zdecydowali się na „Tosce“ ze względu na największą analogię z własnym położeniem. Wszak on był malarzem i wybierał się cierpieć za ojczyznę, a jej miłość zdolna była do największych ofiar, o czym się zresztą sam; przekonacie...

Tego wieczora ojciec był w klubie, a mama miała posiedzenie w dobroczynności. — Wszystko się składa jaknajlepiej, pomyślała panna — i zebrawszy odwagę, rzekła:

— A ja, proszę mamy, idę sama na operę. — Matka obrzuciła ją spojrzeniem pełnym troskliwości.

— Dziecko, ty masz gorączkę.

— Zdrowa jestem i właśnie dlatego idę na operę. Na ostatnim wykładzie mówił profesor o instrumentacji „Toski“, zwłaszcza w trzecim akcie polecił zauważyć... — kłamała, jak każda zakochana.

— Zaczekaj na mnie, pójdziemy razem w przyszłym tygodniu.

— Nie, mamusiu. Sztuka z dziedzinie repertuaru; zresztą w teatrze będzie pani Marta — rozkłamała się na dobre panienska.

Pani Marta była przyjaciółką mamy, której cnota szła w parze z brzydota.

— Pozwalam ci iść, moje dziecko, ale pamiętaj podejść do pani Marty podczas antraktu i... — Resztę przestróg wszyscy znamy na pamięć, więc powtarzać byłoby rzeczą zbyteczną.

I poszła. Ucharakteryzowała się wprzódy na piękność, co jej przyszło dosyć łatwo, i z radosnem biciem serca wybiegła przed dom, gdzie czekał na nią malarz. Ale nie cieszył się dziewczę młode. Jednocześnie z nią wyszedł i papa, który zaproponował:

— Podwożę cię do teatru.

Co wybierać, gdy niema wyboru. Panienska zrobiła rozpaczliwy znak, którego tragizm pojął malarz, i odjechała. Do opery weszła pospiesznie. Była już podniesiona kurtyna, więc nie dostrzeżona przez nikogo, wsunęła się na swoje miejsce. Po chwili usłyszała, a raczej odczuła, wejście malarza, który przez ostrożność zajął miejsce o rząd dalej, ale tuż za nią. Panienska przechyliła dyskretnie głowę i spojrzenia ich skrzyżowały się na długą chwilę. Dzika, acz umotywowana ochota nawiedziła malarza. „Alabaster“ jej karczka zapragnął ucałować. Już się nachylił, ażeby zrealizować marzenie, gdy kurtyna spadła i nietaktowne kinkiety rozjaśniły salę.

— Odożę sobie tę przyjemność na drugi akt, — pocieszył się malarz.

Wierząc malarzu, niczego odkładać nie należy. Tak sobie pomyślała panienska.

Gdy podczas antraktu rozejrzała się, przestała żałować, że malarz nie zmateryalizował swego życzenia na jej karczku. O dwa rzędy za nią siedziały znajome, ogromnie dystyn-

gowane damy, opodal kilku panów, którzy bywali u rodziców, dalej kuzyn, kuzynka. Gdzieś zamajaczyła ciocia. Biedna panienska poczuła się, jak na własnym pogrzebie... tylu znajomych, krewnych i życzliwych.

Brakowało tylko wieńców dla żywcem pogrzebanej. Ale nie tak łatwo pogrzebać pannę. Duch opiekuńczy ciotek czuwa nad nią. Zjawił się obok panienki anioł stróż pod postacią kuzyna i tem; odezwał się słowy:

— Spotkaliśmy idąc do teatru twoją mamę. Przyrzekliśmy jej zopiekować się tobą. Słicznie wyglądasz. Jest w łóż miejsce dla ciebie. Mama prosi, byś poszła do nas.

Przed woła ciotki ugiąć się trzeba..

A w łóż rojno było i gwarno. Ciocia przytuliła zblakną owieczkę, którą wnet emablować poczęli młodzieńcy usytuowani, tacy, za których wychodzi się za mąż. Nie powiem, co się działo w serduszkach panien, gdy słodkim uśmiechem darzyła wszystkich wokoło, bowiem zaglądając do sanktuarium duszy dziewczęcej jest świętokradztwem.

Gdy znów kurtyna poszła w górę, Jego poczęła szukać wzrokiem... Lecz ciocia, instynktem matek wiedzona, uczyniła ze swego biustu tarczę ochronną, z poza której nie mogła się dziewczeczka wychylić bez narażenia na upadek z łóży.

I „Tosca“ stała się dla niej torturą.

Lecz wszystko ma koniec na świecie. Opadła po raz ostatni kurtyna. Kuzynek podał jej paito, usadowił w karecie i odjechali. Panienska smętnie wyglądała przez okno. Nagle serce zamarło w dziwnym skurczu... ujrzała go, wchodzącego do jasno oświetlonej kawiarni. Nie sam szedł, z marzeniem o panience, lecz do ramienia przytulał jedną ze znanych gwiazd baletowych... O malarzu! któżby się tego spodziewał po tobie.

A panienskę odwiedziono do domu. Opinia nie uległa najmniejszemu szwankowi, przeto anama jej mogła spać snem spokojnych.

O losie, który czuwasz nad dziewczętami i jako lilie czynisz je czyste i niedotykalne.



B A K.

18

Gemma podniosła oczy z nad roboty i spojrzała na niego; on zaś zaczerwienił się gwałtownie i urwał. Nastąpiła chwila milczenia.

— Co ci jest? — zapytał Galli z niepokojem. — Czyżby znów —

— Och! nie! Nie warto mówić. Odchodzisz już, Martini?

— Tak; Chodź Galli. Spieszmy się.

Gemma wyprowadziła obu mężczyzn z sypialni i po jakimś czasie wróciła z jajkiem ubitem w mleku.

— Proszę, zjedz pan to — rzekła nakazująco i usiadła znów do roboty. Bąk usłuchał potulnie.

Przez pół godziny żadne z nich nie przemówiło ani słowa. Wreszcie Bąk odezwał się bardzo cicho:

— Signora Bolla!

Spojrzała na niego. Skubał frendzle dywanowej poduszki i miał oczy spuszczone.

— Nie wierzyłaś pani temu, co mówiłem przed chwilą? — zapytał.

— Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że opowiadasz pan rzeczy zmyślone — odpowiedziała spokojnie.

— I słusznie. Kłamałem przez cały czas, jak z nut.

— O wojnie?

— O wszystkim. Nie byłem wcale na wojnie, a co się tycze wyprawy, to brałem w niej udział i niedługo przygoda mi się zdarzyła, więc na dzień większości tych anegdota leży prawda, ale moje kalectwa mają inne źródło. Złapałaś mnie pani na jednym kłamstwie; więc mogę się przyznać do reszty.

— Czy to nie szkoda umysłowego wysiłku na improwizowanie tylu niebawiałych historii? — zapytała Gemma.

— Cóż pani chcesz? Znasz swoje ojczyste, angielskie przysłowia: „Nie zadawaj pytań, a nie usłyszysz kłamstw“. To żadna przyjemność dla mnie zamydlać w ten sposób ludziom oczy, ale muszę im jakoś odpowiedzieć, gdy mnie pytają, co ze mnie zrobiło kalekę; a skoro już się do tego wezmę, to wolę zawsze coś ładnego wymyśleć. Widziała pani, jak Galli był w siódmym niebie.

— Wolisz pan zachwyty Galliego nad powiedzenie prawdy?

— Prawdy?

Urwał kawałek frendzli i spojrzał na Gemmę.

— Pani chciałaabyś, żebym tym ludziom powiedział prawdę? Raczej bym sobie w pierw uciął język.

Poczem dodał nagle z rodzajem jakiejś szczególnej wstydlivosti:

— Nie mówiłem tego dotąd nikomu, ale pani powiem, jeżeli zechcesz mnie wysłuchać.

Gemma położyła robotę. Ten dziwny, tajemniczy, niesympatyczny człowiek, składający nagle swe zaufanie u stóp kobiety, którą zaledwie dwa dni, jak się zdawało, nie lubił, wrzucił ją do głębi.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Gemma podniosła oczy. Bąk siedział, opierając lewy łokieć na stojącym przy kanapie stoliku i zaslaniając oczy okaleczoną ręką, której palce drżały nerwowo, a blizna na dłoni pulsowała wyraźnie.

Gemma podeszła ku niemu i łagodnie wymówiła jego nazwisko. Drgnął gwałtownie i podniósł głowę.

— Za...za...zapomniałem! Prze...e...epraszam! — wyjąkał. — Mia...a...a...a...a...opowiedzieć pani —

— O tym wypadku, który spowodował kalectwo pana. Ale jeżeli to panu sprawi przykrość —

— O wypadku? Ach tak! Tylko to nie był żaden wypadek; to był ożóg.

Cofnęła się, spoglądając na niego ze zdumieniem.

Bąk odgarnął włosy z czoła drżącą ręką i spojrzał na nią z uśmiechem.

— Usiądź pani, proszę. Przysuń sobie krzesło bliżej. Bardzo mi przy...y...kro, że go pani podać nie mogę. Istotnie, jakaby to była niewysłowiona rozkosz dla Riccarda, gdyby mnie był wtedy dostał w swoje ręce, on, która żywi taka prawdziwie chirurgiczna miłość dla złamanych kości; a tak myślę, że wszystko, co się tylko da złamać, było we mnie wtedy zmiażdżone, wyjawszy karku.

— I odwagi pańskiej — wtrąciła Gemma łagodnie. — Ale może zaliczasz ją pan do rzeczy niezłomnych.

Wstrząsnął głową.

— Nie; rzekł — i odwaga zrosła się we mnie z czasem jako tako wraz z resztą; ale narazie była zupełnie zmiążdżona i to jest może najokropniejszym ze wszystkiego. Ach! — No, mniejsza. Miałem tedy opowiedzieć pani o tym ożogu.

— Było to... blisko przed trzy-nastulaty... w Limie. Mówiłem, że Peru, to rozkoszna krajina, ale nie dla ludzi, którzy mają płótno w kieszeni, jak to właśnie było ze mną. Przywędrowałem tam z Valparaiso, jako posługacz okrętowy na statku z bydłem, włączając się przedtem czas jakiś do Argentynie i Chili, przeważnie o głodzie. Ale i w Limie nie mogłem dostać roboty, więc spróbowałem w dokach. Tam, jak wszędzie w portach, są różne podejrzane nory, w których zbierają się marynarze; i po jakimś czasie dostałem miejsce w ja-

kiej szulerni z pod ciemnej gwiazdy. Musiałem gotować i być markerem przy bilardzie i podawać kufle majtkom i ich kobietom. Nie było to przyjemne zajęcie, ale przynajmniej miałem co jeść i widziałem ludzkie twarze i słyszałem ludzką mowę. Powiesz pani może, że w tych warunkach nie było to wielkim dobrodziejstwem, ale ja właśnie przeszedłem świeżo żółtą febrą i leżałem cały czas sam w opuszczonej chacie nędznej wioszczyńni mieszańców i na samo wspomnienie tego, com tam przecierpiał, jeszcze mi włosy na głowie powstają. Otóż pewnej nocy kaza-no mi wyrzucić za drzwi pijanego majtkę, który przegrawszy wszystkim, co miał, zaczął się awanturować. Oczywiście, musiałem usłuchać, by nie stracić miejsca, ale majtek był dwa razy težszy odemnie, a ja nie miałem jeszcze dwudziestu jeden lat i byłem słaby, jak kociak, po przebytej febrze. A przytem tamten miał ożóg.

Zamilkł na chwilę; spojrzał ukradkiem na Gemmę i ciągnął dalej:

— Myślę, że rozwścieczony pijak chciał mnie zatłuc na śmierć, ale mu się to jakoś nie udało, jak przeważnie pijakom, gdy się wezmą do jakiejś roboty, i zostawił we mnie właśnie tyle jeszcze życia, bym nie skonał na miejscu.

— Ale inni? Czyż pana nie mogli obronić? Czy podobna, aby wszyscy bali się jednego pijanego majtkę?

Podniósł głowę i wybuchnął śmiechem.

— *Inni?* Gracie i domowi? Ach! pani tego nie rozumiesz! Toć to wszystko byli murzyni, chińczycy i Bóg wie kto, a ja byłem ich sługą, *ich własnością!* Oni stali dokoła i gapili się. Takie widowisko, to była dla nich kapitalna zabawa.

Gemma wstrząsnęła się.

— I jakież był koniec?

— Tego dobrze nie wiem, bom stracił przytomność, jak się łatwo domyśleć. Ale podobno gdzieś w sąsiedztwie był okrętowy chirurg i gdy się przekonano, że nie wyzionął ducha, ktoś go zawezwał. No i opatrzył mnie iakoś. — Riccardo powiada, że po partacku, ale może to zawodowa zazdrość mówi przez niego. Bądź-co-bądź, gdy odzyskałem przytomność, jakaś stara murzynka zabrała mnie z litości do siebie. Po całych dniach siadywała w kącie lepianki, pałac fajkę, pluąc na podłogę i mamrocząc do siebie. Ale miała jaknajlepsze chęci i upewniała mnie, że mogę umrzeć w spokoju, że nikt mi nie przeszkodzi. Jednakże wrodzony mi duch przeciwieństwa wziął górę i wolałem żyć. Było to bardzo trudne zadanie ten powrót do życia i czasem, zdaje mi się, że gra nie była warta świecy. Bądź-co-bądź cierpliwość tej babiny była zdumiewająca: trzymała mnie u siebie blisko przez cztery miesiące wrzeszczącego czasem, jak opętaniec. Widzi

pani, cierpiałem wściekle, a w dzień ciństwa dogadzano mi trochę za wiele.

— A potem?

— Och, potem; wylizałem się jakoś i powlokłem się w świat. O! nie przez żadną delikatność, żeby nie być na łasce tej biednej starowiny; tylko poprostu dlatego, że już dłużej wytrzymać tam nie mogłem. Mówisz pani o mojem mężwie! Gdybyś mnie pani była widziała wtedy! Najgorszy ból chwycił mnie zawsze nad wieczorem, o zmierzchu; a ja przez całe popołudnie leżałem sam i patrzyłem, jak słońce zsuwało się coraz niżej... niżej... O! Co się we mnie działo!... Pani tego nigdy nie zrozumie!... Od tej pory nie mogę patrzeć na zachód słońca.

Nastąpiło długie milczenie.

— Tak więc powlokłem się w świat szukać jakiego zajęcia; w Limie za nic nie byłbym pozostał. Doszedłem tak do Cruzco a tam... Doprawdy, nie wiem, poco ja opowiadam pani te stare dzieje... Żeby choć były zabawne.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego głębokim, poważnym wzrokiem.

— Proszę, nie mów pan w ten sposób — rzekła.

Przygryzł wargi i urwał znów kawałek frendlizy.

— Mam mówić dalej? — zapytał po chwili.

— Jeżeli pan chce. Ale to może zbyt przykre dla pana wywoływać takie straszne wspomnienia.

— Myślisz pani, że zapominam, gdy milczę? Jeszcze mi gorzej wtedy. Ale nie sądzę pani, że to same fakty tak mnie prześladowają... Nie; najdokuczliwsza jest mi myśl, że straciłem władzę nad sobą.

— Nie rozumiem dobrze.

— Chcę powiedzieć, że pieczę mnie pamięć takiej utraty męstwa, że wreszcie stchórzyłem.

— Wytrzymałość ludzka musi mieć swoją granicę.

— Tak; a człowiek, który raz doszedł do tej granicy, nigdy nie wie, czy znowu do niej nie dojdzie.

— Mógłbyś mi pan powiedzieć — spytała Gemma z wahaniem — jakim sposobem znalazłeś się tak rzuconym na łaskę losu w dwudziestym roku życia?

— Bardzo prostym; uciekłem z domu.

— Dlaczego?

Zaśmiał się we właściwy mu ostry, nieprzyjemny sposób.

— Dlaczego? Dlatego zapewne, że byłem głupiotkiem stworzeniem. Wychowano mnie w zbyt kach, pieszczono, dogadzano i dzięki temu świat przedstawił mi się, jak bombonierka, wystana różowym atłasem i napełniona cukierkami. A potem, pewnego pięknego poranka przekonałem się, że ktoś, komu wierzyłem bezgranicznie, oszukał mnie. Czemuż pani tak drgnęła? Co pan jest?

— Nic. Mów pan dalej.

— Przekonałem się, że mnie okłamano, co zresztą jest rzeczą całkiem pospolitą, ale, jak rzekłem, byłem młody i głupi i zdawało mi się, że klamecy powinni iść do piekła. Uciekłem więc z domu i dostałem się do Południowej Ameryki bez grosza w kieszeni i nie umiejąc ani słowa po hiszpańsku, a jako jedyny sposób zarobkowania mając białe ręce i zbyt kowne przyzwyczajenia. To też, dałem murka na samo dno rzeczywistego piekła, by się wyleczyć z wiary w urojone. I trwało to dosyć długo... okrągłe pięć lat, nim wyprawa Dupreza wydobyla mnie stamtąd.

— Pięć lat! Och! to straszne! I nie miałeś pan przyjaciół?

— Przyjaciół? Ja — tu zwrócił się ku niej z nagłą gwałtownością. — Ja nigdy w życiu nie miałem przyjaciela!

Poczem, jakby zawstydzony tym wybuchem, mówił dalej szybko:

— Nie bierz pani tego tak tragicznie. Dawałem sobie jakoś radę przez pierwsze półtora roku; byłem młody i zreżny, dopóki mnie ów majątek nie poprzetrzącał. Ale potem nie mogłem już dostać zajęcia. To rzecz zadziwiająca, jak skutecznym narzędziem może być ożog, gdy się go umiejętnie użyje; no, a że nikt nie chce przyjąć do służby kaleki, to bardzo proste.

— Więc cóż pan robi?

— Co się dało. Czas jakiś posługiwałem murzynom na plantacjach cukru. Nawiasem mówiąc, ciekawa to rzecz, że niewolnicy zawsze sobie znajdują niewolnika, a nie tak murzyna nie cieszy, jak takie białe popychadło, nad którym może się znęcać. Ale i ten gorzki kawałek chleba wciąż mi się z rąk wymykał. Dozorcy przepędzali mnie zawsze. Będąc kulawym, nie mogłem biegać prędko i nie potrafiłem dźwigać ciężarów. A przytem ciągle podlegałem tym nieszczęśliwym atakom i wtedy byłem zupełnie do niczego.

Dalszy ciąg nastąpi.



Anatomia opisowa.

Według wykładów prof. Edwarda Lotha napisali „Anatomie opisowa” kandydaci medycyny, pp. Wł. Koskowski i Kazimierz Tyszką. Z ramienia zaś słuchaczy obecnych wziął w pracy udział p. St. Bogusławski. Dotychczas wyszedł I zeszyt.

W zaczątku pracy powyższej, zakrojonej na miarę poważnego podręcznika akademickiego, gorąco powitać należy bodaj czy nie pierwszy objaw wydawniczej twórczości odrodzonej, wyższej uczelni polskiej. Podnieść przytem trzeba szczegół charakterystyczny, nader chwalebny i obiecujący na przyszłość: oto podręcznik anatomii opracowują słuchacze pod kierunkiem swego profesora. Zdaje się, że w tem spółdziałaniu, w zbiorowości tej pracy można widzieć zapowiedź tworzenia się „szkoły”, co świadczyłoby, że studya lekarskie na uniwersytecie warszawskim spełniają odrazu swoje zadanie. Powstaje tym sposobem atmosfera, niezmiernie sprzyjająca rozwojowi wiedzy wogóle, wszczepianiu zaś jej tajników w umysły studującej młodzie w szczególności.

O wpływie woli na wahania uwagi.

Dr. fil. Artur Chojecki, sekretarz Warsz. Instyt. Psychologicznego i prof. uniwersytetu warszawskiego, wydał interesujący przyczynek z dziedziny psychologii doświadczalnej p. t. „O wpływie woli na wahania uwagi”. Autor przyjmuje zdanie James'a, że „wysiętek uwagi jest aktem zasadniczym woli”; na tem buduje swoje doświadczenia. Praca dr. Chojeckiego napisana jest jasno i przystępnie. Może zainteresować każdego świadomie żyjącego człowieka. Ciekawe jest bowiem, jak można mierzyć siłę jakiejś jednostki w określonym momencie. Ciekawe jest też, że przez wahania uwagi daje się ująć psychikę woli w korelacje liczb.

Kwartalnik prawa cywilnego i handlowego.

Z inicjatywy p. I. J. Litauera, znanego adwokata i historyka prawodawstwa, powstał „Kwartalnik prawa cywilnego i handlowego”. Jako wydawca podpisuje p. M. Kuratow, sekretarzem zaś redakcyi jest p. J. Namitkiewicz. W pierwszym zeszycie tego interesującego i bardzo pożytecznego czasopisma znajdujemy następujące prace: prof. Ignacy Łyskowski: Podstawy skargi o zwrot „niesłusznego wzbogacenia”. I. J. Litauer: „O znaczeniu i skutkach hipoteki sądowej według prawa sejmowego z roku 1818”. St. Bukowiecki: „Główne zasady cywilistyczne prawa górniczego na ziemiach polskich”. Bolesław Rotwand: „Normy prawa ubezpieczeniowego w kodeksach handlowych”. J. Świątopełk-Zawadzki: „Nieruchomość z przeznaczenia wobec zakazu hipotecznego”. Poza tem znajdujemy „Przegląd orzecznictwa”, „Przegląd prawodawstwa” oraz „Przegląd piśmiennictwa”. Kwartalnik zainicjował też urządzenie konkursów na prace z dziedziny prawa cywilnego. Pierwszy taki konkurs z 1000-złotową nagrodą, oprócz honorarium autorskiego, został ogłoszony w pierwszym zeszycie wydawnictwa na pracę naukową z zakresu prawa handlowego. Termin nadsyłania prac oznaczono na dzień 1 grudnia 1916 r.

